

puszczają ze swej opieki, potrafi ona uciec ztąd, jeżeli już tego będzie mieć za dużo. A znam pewnego człowieka, nazwiskiem Mariusza Cogles — dodał mój dzielną współziomkę, uśmiechając się — który tylko czeka na sposobność towarzyszenia Ninie i opuszczenia na zawsze progów la Guardy.

Nie mogłem oprzeć się wzruszeniu i uściskałem go serdecznie.

— A teraz niech mi pan powie, jakie są pana zamiary! — zapytał po chwili Maryusz — Jak się pan tu dostał?

Niezadowolony wybiło się na jego twarzy, kiedy go zapoznalem z planem moim i wymienilem imię i nazwisko przewodnika.

— Aha! To ten brzydki ptak, z którym się spotkałem, podążając tutaj — rzekł, brwi marszcząc — Niedobry pan wybór uczynił. Słyszałem już coś o tym senorze Ramon. Wyrobił sobie w Coatepec i okolicy opinię najfatalniejszą. On jest zdolny poza plecami pana wydać go don Lopezowi, jeżeli ten dobrze go zapłaci. Niech się pan strzeże tego ptaszka i jak pan z nim iść będzie, to radzę mieć broń w pogotowiu — rozumie mnie pan?

— Dziękuję za ostrzeżenie. Przysięgam panu być ostrożnym.

— Załuję, że nie mam dziś dnia wolnego. Sprawa bardzo ważna wzywa mnie do Bartolo. Powrócę dopiero wieczorem. Jeżeli się panu nie powiedzie z senorem Ramonem, to proszę tu na mnie czekać, a ja podejmę się ułatwić panu widzenie się z moją Niną.

— Jesteś pan dzielny człowiekiem, panie Maryuszu! Jakże mam panu wyrazić moją wdzięczność.

— Eh! Co tam, niema o czym mówić! A teraz do widzenia, muszę jechać dalej.

Uściskawszy dłoń moją, Maryusz wskoczył na konia i odjechał szybko.

Ja zaś pozostałem pod wrażeniem różnorodnych myśli, rozsadzających mi czaszkę.

Ten dzielny człowiek czuł dla byłego kasyera mojego ojca tak szczere przywiązanie i wiarę niezachwianą, że nie ośmieliłem się podzielić z nim nieprzyjemnym uczuciem, jakie wywołane zostało niektórymi słowami jego opowiadania.

Bo cóż właściwie wyłoniło się z tego opowiadania Maryusza?

Zestawienie bardzo niepokojących i niejasnych faktów, uwłaczających pamięci pana Louviers.

Louviers bowiem odegrał w całym dramacie rolę niewyraźną, którą na nieszczęście wspomnienia moje nie były w stanie realnie określić. Ale w każdym razie były tam rzeczy, które zatrzymały uwagę sędziów. Naprzykład jakiś fakt z kluczem kasy ogniotrwałej. A z tej kasy przecież, jak opiewało dochodzenie, zginąć miała poważna suma pieniędzy i dziwnym zbiegiem okoliczności, w trzy miesiące później na kasyera mojego ojca spada sukcesja, pozwalająca stać się mu właścicielem plantacji w Meksyku!...

Louviers, jak mówił Maryusz, dręczony był wspomnieniem przykrej tej sprawy i chwycił się skwapliwie okoliczności, dającej mu możność przesiedlenia się do innego kraju. Dopiero po latach powrócił do Francji, zmuszony do tego kroku kaprysem żony.

Czy te fakty nie rzucają niepokojącego światła na tajemnicze zwierzenia, uczynione córce, wywołane może w obliczu śmierci wyrzutami dręczonego sumienia?

Ale ja nie chciałem, nie mogłem ani na chwilę nawet przypuszczać, aby ojciec tej sympatycznej i pociągającej dziewczyny był mordercą! Odpychałem całą siłą od siebie straszne to oskarżenia! A pomimo to jednak trudno mi było wątpić, aby nieszczęśliwy ten człowiek nie brał jakiegokolwiek udziału w smutnym tym dramacie. W każdym razie odpowiedzialność jakaś musiała ciążyć na nim. Zresztą sam fakt, że Louviers, jako kasyer mojego ojca, był wmieszany w to wszystko i oskarżony — kazał mi przypuszczać, że tylko z tej strony dowiem się nareszcie prawdy, a tej prawdy tak pragnąłem teraz gorąco, tak jej wyczekiwałem!

Powracający w godzinę później mój wysłannik zastał mnie jeszcze pogrążonego w przykrych tych rozmyśleniach.

Twarz jego chuda i ostra jaśniała radością.

Opowiedział mi, że szczęście posłużyło mu nadspodziewanie. Został bardzo gościnnie przyjęty przez don Lopeza i jego siostrę, z czego skorzystał, aby zbliżyć się do panny Louviers i wywiązać się z mojego polecenia. Młoda dziewczyna przyjęła z wielkim zdziwieniem wiadomość o mojej obecności w okolicy la Guardy i po chwili namysłu oświadczyła mu, że pragnie również bardzo widzieć się ze mną. Właśnie odwiedzić miała chorego pastu-

szka we wsi i oczekiwać na mnie będzie w jego chacie.

— Niech tylko pan zaraz idzie za mną — zakończył don Ramon — a wszystko będzie dobrze.

Uplanowane spotkanie, według mojego przekonania, ułożyło się nawet za dobrze i nadspodziewanie, a będąc już ostrzeżonym przez Maryusza co do osobistości mojego przewodnika, postanowiłem się mieć na baczności. Zauważyłem fałszywy i nie naturalnie swobodny dźwięk głosu don Ramona, gdy mi zdawał sprawozdanie ze swojej działalności i spojrzenie jego niepewne, unikające moich oczu. Zadrżałem na myśl nieszczęścia, jakie mnie czekać mogło, gdybym naprawdę wpadł w ręce tego złośliwego zdrajcy. Ale jeżeli panna Louviers rzeczywiście oczekiwała mojego przybycia w chacie pasterza, jakżeby sobie tłumaczyła moją nieobecność. Musiałem więc wszystko postawić na ostatnią kartę!

Na pozór spokojny i zadowolony wsiadłem na konia, zdając się nie spostrzegać złośliwego uśmiechu mojego przewodnika.

Lecz gdy zebrałem już cugle i skonstatowałem pewność poprzęgów, wyjąłem nabity rewolwer z kieszeni i odwołując kurek, wyrzekłem stanowczo, patrząc prosto w twarz don Ramona:

— Lenorze Ramonie, czy dostrzegasz ten mały kamyczek tam w trawie?

— Doskonale.

Wycelowałem i strzeliłem, kamyk rozprysł się w kawałki.

— Ach! to ładny strzał — zawołał don Ramon z zachwytem.

— Tak pan sądzi — odpowiedziałem. — Zechciej więc pan to uważać za ostrzeżenie dla każdego, któryby chciał działać przeciw mojemu bezpieczeństwu. Zapuszczając się w kraj dla mnie wrogi, muszę się mieć na baczności i postanowiłem roztrząsać głowę każdemu, u którego zauważyłbym ruch jakiś podejrzany. A teraz — dodałem, kłaniając się irocznie i wskazując drogę przed nami — mam zaszczyt prosić cię, don Ramonie, o przewodnictwo. Nie protestując bynajmniej, wzruszywszy tylko lekceważąco ramionami, don Ramon ruszył przedemną. Jechaliśmy więc w zupełnym milczeniu, jak gdyby między nami nic nie zaszło szczególnego. Ja trzymałem palec na odwiedzionym kurku rewolweru, gotowy w każdej chwili do strzału. Byłem jednak przekonany, że nie ośmieli się mnie napastować w drodze i że zasadzka przygotowana jest na mnie w domku pasterza.

Jechaliśmy już prawie pół godziny bez żadnej przeszkody i już wyrzucałem sobie, że mogłem podejrzewać mojego przewodnika, gdy nagle ze szczytu skały, wznoszącej się nad drogą, ze świstem ciężkim spadło na mnie lasso i określiło się koło moich ramion. Straciłem równowagę i wypuszczając cugle z ręki, zwałem się na ziemię.

Równocześnie zabrzmiało koło mnie wybuch ironicznego śmiechu. W mgnieniu oka zostałem otoczony kilkoma ludźmi o zuchwałym wyglądzie. W jednym z nich rozpoznałem mojego wroga, don Lopeza. Krzyknął rozradowany do don Ramona, nadjeżdżającego ku nam:

— Dobrze się sprawiłeś, mój przyjacielu. Mamy go w ręce. Już teraz nam nie ujdzie!

Dreszcz przebiegł moje ciało. Uczułem się zgubionym!

Bandyci.

Na rozkaz don Lopeza, dwóch ludzi skrepiło mnie silnie lassem i przywiązało do grzbietu konia, poczem cała kawalkada ruszyła drogą ku la Guardzie. Jednakże po pewnym czasie don Lopez dał znak zatrzymania się przed chatą, zamieszkaną przez Indyanina, trudniącego się sprzedażą napojów robotnikom plantacji.

Tutaj zdjęto mnie z konia i rzucono brutalnie na ziemię. Don Lopez oświadczył głośno, że zamierza wydać sąd nademną.

Indyanin wyniósł kilka butelek i całe towarzystwo skwapliwie orzeźwiać się zaczęło.

Po chwili don Lopez uniósł się z ławki i zawołał donośnym głosem:

— Przyjaciele! Widzicie tego nędznego człowieka u moich stóp. Oskarżam go publicznie o przybycie w naszą okolicę w zbrodniczym zamiarze wykradzenia mojej narzeczonej Niny, którą poślubię jutro rano!

Lękając się, że nie rozumiem narzecza, pochylił się nademną i wymówił wolno w ojczystym moim języku:

— Czy zrozumiał pan, panie Fontaine? Poślubię jutro tę ładną dziewczynę i daję panu na to słowo, że na tej uroczystości nie będziesz!

Nie mogłem wymówić słowa, przejęty zgrozą i niepokojem.

Don Lopez zwrócił się teraz do swoich towarzyszy i rzekł:

— Ten awanturnik chciał wciągnąć w niecny ten zamiar szlachetnego człowieka, który gotów jest wyjawiać wam całą prawdę. Świadek powie wam, że otrzymał od tego zbrodniarza polecenie wciśnięcia się do mojego domu i nadużycia mojej gościnności w celu uprowadzenia Niny. Czy jest to prawdą don Ramonie?

— Najczystsza prawda! — potwierdził mój zdrajca z całym zuchwałstwem.

Szmer niezadowolenia i groźby przebiegł słuchających.

Zostałem jednak szczęśliwie ostrzeżony przez don Ramona — mówił dalej don Lopez — i mogłem wobec tego przy waszej pomocy, przyjaciele, zniszczyć podstęp tego cudzoziemca. A teraz, proszę was, wydajcie sąd nad nim i wybierzcie stosowną karę, na którą zasłużył!

Jedogłośnie wzniósł się piekielny okrzyk:

— Na śmierć zdrajcę! Na śmierć!

Rodzaj śmierci został szybko wybrany. Miałem zostać powieszony.

Dwóch oprawców przystąpiło do mnie w chwalebny zamiarze podciągnięcia mnie pod najbliższe drzewo, kiedy don Ramon, opowiedziawszy jeszcze moją zuchwałość względem niego, w chwili wyjazdu z oberży — zaproponował, żeby jeszcze przed wykonaniem ostatecznej kary wypróbować moją odwagę i przekonać mnie o szczerości jego współziomków.

Uchwalono zatem, że służyć miałem za cel do zabawy w oszczepy, nazwanej tutaj „machete“.

— Senor Francuz zapewne nie wyobraża sobie tej przyjemnej rozrywki? — zapytał wyzywająco don Ramon, widząc obojętność moją.

— Przeciwnie, zna ją doskonale! — odpowiedział don Lopez — jego matka była przecież Meksykanką.

— I pan wie o tem? — zawołałem, nie mogąc powstrzymać zdziwienia, wywołanego przeświadczeniem, że temu człowiekowi nie są obce moje stosunki rodzinne.

Wzruszył ramionami za całą odpowiedź i wydał rozkaz poczynienia przygotowań potrzebnych.

Przy pomocy drugiego lasso przywiązano mnie do pnia grubej palmy, na którym wszyscy bandyci mieli oznaczyć sobie miejsce wybrane na rzucenie sztyletu.

Miejsca te oczywiście mieściły się tuż obok mojej głowy. Zazwyczaj Meksykanie nadzwyczaj są zręczni w tego rodzaju zabawie. Tylko, że teraz, po wyszczeniu kilku butelek silnego napoju, nie mogłem liczyć na pewność ich ręki i tę rozrywkę mogłem przypłacić życiem, a do ostatniej chwili miałem nadzieję, że jakiś przypadek wybawi mnie z niebezpieczeństwa.

— Niech się dzieje co chce! — pomyślałem. Muszę przywołać całą moją odwagę, bo nie mogę pozwolić, aby ci bandyci cieszyli się moją słabością i lękiem!

Wszystko już było gotowe.

Hasło rozpoczęcia miał wydać sprawca tej propozycji. Don Lopez zaważwał go do tego przyjaznym skinieniem ręki. Don Ramon stanął więc na przeciw mnie, oświadczaając, że „udekoruje mnie kulczykiem“ — i przyznając, że przeżyłem wówczas bardzo przykrą chwilę. — Pomimo to, patrzyłem prosto w oczy mojego zdrajcy, błyszczące fałszywym blaskiem i zaledwie zmrużyłem powiekę, kiedy szerokie ostrze przeszło błyskawicznie powietrze i tępe uderzeniem zaryło się w korę drzewa, zadrgawszy kilkakrotnie przy mojej szyi.

Rozległy się żywe oklaski.

— A teraz moja kolej! — oświadczył don Lopez. — Muszę wypełnić w ten sam sposób lewą stronę. Senor Fontaine miałby żal do mnie, gdybym nie umiał mu pokazać mojej zręczności.

I znowu stalowa błyskawica przeszła powietrze i broń z tą samą symetrycznością i wprawą zapadła w drzewo z lewej strony, przecinając mi włosów kilka.

Tym razem wzniósł się entuzjastyczne okrzyki radości.

— No! — pomyślałem — Jakoś dotąd nie źle idzie. Ale to jeszcze nie koniec. Ta zabawka w każdej chwili popsuć się może.

Obawy moje nie były może płonne, bo teraz kolej nadeszła na wielkiego draba, którego oczy błyszczały podniecone, nieprzytomne prawie działaniem alkoholu.

(Ciąg dalszy nastąpi).